

Słowo wstępne

Uważam, że tym, co wyróżnia tę książkę od innych pozycji literatury religijnej jest to, że opisuję w niej swoją drogę powrotu do utraconej w młodości wiary w Boga.

Na jej początku były znaki zapytania kreślone na marginesach Pisma Świętego, rodzące się wątpliwości i trudne pytania, a potem mozolne szukanie odpowiedzi na nie w tekstach biblijnych, w wartościowych książkach o tematyce religijnej, a także w pewnej liczbie tych z zakresu nauk przyrodniczych, których treść wiąże się z problemem istnienia Boga.

Posługując się argumentami wiary i rozumu mówię w niej ludziom takim jak ja w przeszłości to, co o sensie wiary w Boga ma im do powiedzenia ktoś, kto jak oni był wątpiący, niewierzący, zagubiony.

Adresuję ją szczególnie do tych młodych ludzi, często kształcących się lub wykształconych, którym nie starcza odwagi, by podzielić się swymi problemami w wierze z kimkolwiek. Z własnego wyboru stają więc samotnie na rozdrożu.

Z upływem czasu utwierdzają się w zbliżającym ich do ateizmu przekonaniu, że wiedzy, którą posiadli, nie da się pogodzić z wiarą w Boga, której podstawą jest przecież przekonanie o Jego istnieniu.

W książce tej próbuję wykazać, że ateści popełniają błąd gdy twierdzą, że możliwe jest rozstrzygnięcie sprawy istnienia Boga przy użyciu narzędzi poznania, jakimi dysponuje współczesna nauka, gdy bada świat materii. Nie jest to moim zdaniem możliwe, co oznacza, że mogą oni jedynie wierzyć, że Boga nie ma. Są w istocie osobami wierzącymi, tyle że inaczej.

W książce tej próbuję odpowiedzieć na wiele ważnych, niekiedy kontrowersyjnych pytań. Na kolejnych etapach pokonywanej przeze mnie drogi brzmiały one między innymi tak:

Czy istnieje Bóg, Stwórca Wszechświata, Ziemi i wszystkiego co się na niej znajduje?

Czy możliwe jest pogodzenie poglądu o ewolucyjnym rozwoju Wszechświata, który podobno narodził się w Wielkim Wybuchu, z biblijnym opisem stworzenia świata?

Czy możliwe jest pogodzenie teorii ewolucji z treścią tych fragmentów Pisma Świętego, które mówią o stworzeniu człowieka?

Czy prawdą jest to, co o relacji między Bogiem a człowiekiem mówi nauczanie Kościoła katolickiego?

Jak pogodzić wizerunek chrześcijańskiego Boga miłości i miłosierdzia z ogromem cierpienia obecnego w stworzonym przez Niego świecie?

Czy Pismo Święte jest wiarygodne?

W rozważaniach swych poruszam jedynie niektóre, wybrane zagadnienia związane z wiarą w Boga. Wypowiadam się na ich temat zgodnie z moim ich rozumieniem, nie wykraczając przy tym, mam nadzieję, poza ramy zakreślone nauczaniem Kościoła katolickiego.

Nie sięgam do wielu problemów ważnych, ale mieszczących się w sferze, w której jestem niekompetentny, ani do takich aspektów wiary i praktyki religijnej, w których, moim zdaniem, wypowiadać się powinni jedynie duchowni i teolodzy.

Nie odnoszę się do doktryn religijnych mojego, ani żadnego innego Kościoła czy wyznania. Nie usiłuję ich wartościować. Widzę bezsens pozostawania we wrogiej opozycji wobec chrześcijan z innych wspólnot religijnych niż ta, której członkiem przypadło mi być. Są mi bliscy, gdyż są moimi braćmi w wierze w tego samego Boga, choć pozostają na drogach nieco różnych od tej, którą przyszło mi pokonywać.

Jestem przekonany, że Bóg znajduje wszystkich szukających Go na każdej z prowadzących do Niego dróg, jak sądzę, także na tych dalekich od chrześcijaństwa. I oni są mi braćmi. Mamy wspólnego, choć różnie nazywanego Ojca. To powinno nas łączyć ponad podziałami pozornie niemożliwymi do przewyciężenia.

W książce tej uzasadniam nie tylko moje przekonanie, że Wszechświat ma swojego Stwórcę, ale także to, iż wiarygodne jest twierdzenie chrześcijan, iż Stwórca ten darzy człowieka miłością, oczekuje jej odwzajemnienia i pragnie, by człowiek traktował Go jako swego Ojca, oraz że istnienie relacji miłości między Bogiem i człowiekiem nadaje sens naszej egzystencji, w stworzonym przez Niego świecie.

W tym miejscu muszę odpowiedzieć na oczywiste pytania. Dlaczego ja, osoba świecka, zajmuję się tą problematyką?

Dlaczego w końcu stałem się autorem tej książki?

Czy podejmując zagadnienie wiary w Boga, nie porygam się z motyką na słońce, bo przecież, jakie mam w tym temacie kwalifikacje?

By na pytania te odpowiedzieć, muszę cofnąć się do odległej przeszłości.

Zostałem wychowany w rodzinie wierzących w Boga. Okres młodości dociekliwości, krytycyzmu i buntu przeciw wszystkiemu, w pewnym momencie zaowocował burzliwym odejściem od wyznawanej przez rodziców religii i tak już zostało przez lata.

Nie czułem potrzeby religijnego zaangażowania. Tę sprawę kwitowałem stwierdzeniem: „Istnienia Boga udowodnić się nie da, więc dajmy sobie spokój. Można żyć uczciwie, nie będąc osobą wierzącą. Jeżeli Bóg, mój Stwórca, gdzieś tam istnieje oraz jest tak mądry i sprawiedliwy, jak o Nim mówią, to przecież nie może mnie odtrącić tylko za brak wiary. Pewnie wystarczy Mu, że staram się być porządnym człowiekiem”.

Tak motywowana postawa obojętności wobec problemów religijnych trwała latami, ale w jakimś momencie uległa nieoczekiwanej zmianie. Narodziły się wątpliwości.

Izba porodowa przy wiejskim ośrodku zdrowia, moim pierwszym miejscu pracy w zawodzie lekarza. Samodzielnie odebrany, trudny poród. Płacz dziecka wchodzącego w nieznaną mu rzeczywistość i radość w oczach wyczerpanej porodem matki. Mam poczucie satysfakcji z dobrze zdanego egzaminu. Po roku ciężkie zapalenie płuc tego samego

dziecka i jego śmierć tylko dlatego, że matka poszukała porady lekarskiej zbyt późno. Nie pomogło natychmiastowe skierowanie do szpitala.

Dlaczego to dziecko umarło? Przecież mogło i powinno żyć. Dręczy mnie świadomość niezawinionej porażki.

Wkrótce potem przerażenie w oczach innej młodej kobiety, skierowanej na oddział onkologiczny z powodu guza piersi. Wraca ze szpitala z rokowaniem najgorszym z możliwych. Ona je przeczuwa, może już zna. Widzę, że oczekuje ode mnie nie prawdy, lecz dającego jej nadzieję kłamstwa. Chce w nie wierzyć. Dla siebie i otaczającej jej łóżko gromadki popłakujących maluchów.

Próbuję sprostać jej oczekiwaniom. Ale jak to zrobić, co mówić, jeżeli po kilku miesiącach straciła na wadze aż 15 kilogramów, a lekiem dla niej najważniejszym jest już tylko morfina? Jak odpowiedzieć na jej błagające o ratunek spojrzenie?

Narodziny. Cierpienie. Śmierć. I znów to samo. I znów. Inne nazwiska. Inne okoliczności. Wśród tego ja. To sprowokowało mnie do stawiania sobie pytań.

Czego jestem tu świadkiem i w czym uczestniczę?

Jaki jest sens mego istnienia i mojej pracy, w wyniku której mogę, co najwyżej, na jakiś czas odwlec to, co czeka każdego człowieka?

Nie znalazłem na nie odpowiedzi.

W jakimś momencie świat wydał mi się osobliwym perpetuum mobile, martwą, wiecznie poruszającą się machiną, w której mielących trybach, nie z własnej woli, znaleźli się ludzie, istoty tym bardziej nieszczęśliwe, im w większym stopniu świadome bezsensu istnienia zarówno bezdusznej maszyny, jak i swojej egzystencji w niej.

Uświadomiłem sobie też, iż dzielimy los miliardów innych przedstawicieli świata zwierząt. Rodzimy się, tworzymy swoje „mrowiska”, które nazywamy na przykład Nowym Jorkiem lub Londynem, i odchodzimy w nicłość.

Różni nas od naszych „mniejszych braci” zdolność do autorefleksji i krytycznej oceny swej sytuacji, bolesna świadomość przemijania oraz to, że swe pragnienia, aspiracje i życiowe potrzeby zaspakajamy w bardziej złożony i często wyrafinowany sposób. Ta deprymująca konstatacja nie była wcale miła.

Wiem, że takich pytań nie zadają sobie, ani takich rozterek nie doznają ludzie młodzi i ci, którym się w życiu wie dzie. Dzieje się tak, gdy jest gorzej. Powody bywają różne.

Niepowodzenie w życiu osobistym lub zawodowym, cierpienie, ciężka choroba lub gdy zajrzy w oczy śmierć. Gdy to samo zdarzy się osobie najbliższej.

Gdy pierwsze siwe włosy i pobrużdżona zmarszczkami twarz zwiastują zbliżającą się już starość.

Gdy któregoś dnia w sposób szczególny przytłoczy nas świadomość beznadziejnej monotonii życia. Rano budzik, biegiem śniadanie, wciąż ta sama praca, wieczór przed telewizorem, spać, budzik, biegiem... praca..., telewizor..., budzik..., itd..., itd. Jeszcze pięć takich lat. Emerytura.

Spoglądam w tył na życie z perspektywy lat, które upływały. Ciąłem, gromadziłem, zabiegałem, pędziłem za... Po co? Za czym?

Bo cóż jest naprawdę warte to wszystko, co człowiek może w swym życiu zdobyć lub osiągnąć?

Jaką wartość ma nawet największe konto bankowe, którego do grobu nie weźmie, luksusowy samochód, który ze- złe korozja, własny dom, w którym jest się przecież tylko

jednym z kolejnych lokatorów, sława lub władza dostępne dla tych u szczytu? Wszystko to pozostawimy za sobą. Odejdziemy z tego świata w nicłość takimi, jakimi się narodziliśmy, nagimi, bezsilnymi i ubogimi.

Te prowadzące do depresji myśli na różne sposoby próbujemy zagłuszyć, wypełniając swój czas mniej lub bardziej sensowną aktywnością.

Słusznie staramy się swe dzieci kształcić, wychowywać oraz czynić wszystko, co możliwe, by zapewnić im jakiś życiowy sukces i godziwy byt, ale jednocześnie mamy świadomość tego, że one, podobnie jak my, w czekającej je przyszłości, również zadadzą sobie pytanie o sens swojego istnienia.

Słusznie ratujemy życie bliźnim, chociaż wiemy, że niektórzy z nich będą zabijać swych bliźnich lub polegą na placu boju w kolejnej bezsensownej wojnie.

Budujemy ogromne miasta, chociaż wiemy, iż w razie następnej światowej wojny mogą one zostać zamienione w ogromne kupy gruzu.

Czas, w którym prześladowała mnie tak pesymistyczna wizja świata, na szczęście nie trwał zbyt długo. Dostrzegłem wokół siebie ludzi, którzy otaczając mnie rzeczywistość odbierali całkiem inaczej.

Cieszyli się urokami życia, gdy były ku temu powody i nie popadali w depresję, gdy bywało gorzej, a nawet całkiem źle. Dzielnie znosili fizyczne i psychiczne cierpienie, nawet gdy trwało ono latami, swe nieuleczalne inwalidztwo i realną perspektywę rychłej śmierci.

Byli to chrześcijanie. Nie kryli tego, że nawet w najcięższych chwilach swego życia to dzięki wierze w Boga nie utracili poczucia sensu swego istnienia.

Wówczas zadałem sobie pytania.

Może to ludzie wierzący w Boga mają rację, a nie tacy jak ja, od lat wątpiący w Jego istnienie. Może w życiu człowieka zawiera się sens i ważny cel, którego zaabsorbowani bez reszty swymi przyziemnymi sprawami, po prostu nie dostrzegamy?

Jedni, zaprzęgnięci w kierat swych codziennych obowiązków i przytłoczeni walką o przeżycie od pierwszego do pierwszego. Inni, zadyszani w pogoni za takim czy innym sukcesem lub zajęci bez reszty konsumowaniem owoców osiągniętego przez siebie dobrobytu, a jeszcze inni po prostu zbyt leniwi, by trudzić się szukaniem odpowiedzi na ważne dla człowieka pytania.

Może dopiero dzięki wierze w Boga, dzięki przekonaniu o prawdziwości zawartych w niej obietnic, możemy odkryć cel i sens swej egzystencji, a wszystkie nasze ludzkie sprawy mogą ukazać się nam we właściwym świetle, w należnych proporcjach i sensownej perspektywie?

Może dzięki swej wierze potrafimy rozważnie cieszyć się z osiągniętych sukcesów i z tego, co na co dzień sprawia nam radość lub daje poczucie szczęścia, a jednocześnie łatwiej znosimy dotyczące nas cierpienie i perspektywę nieuchronnej śmierci?

Czy to możliwe?

Czy wiara w Boga może sprawić, że nabierze dla mnie sensu to wszystko, co wydaje mi się całkowicie bezsensowne, że to, co dziś postrzegam jako czarne, jutro okaże się białe?

Czy muszę uwierzyć w Boga, czy mam stać się chrześcijaninem, by odkryć sens swojego życia??

Uwierzyć w Boga?

Czy jest to w mojej sytuacji realne?

Będąc częścią mojej natury, sceptyczne podejście do wszystkiego, czego nie mógłbym sobie udowodnić i mój krytyczny stosunek do znanych mi jedynie powierzchownie twierdzeń chrześcijaństwa, wydawały się wykluczać taką możliwość.

Wracam wspomnieniami do konkretnej chwili w odległej przeszłości. Mroźna, grudniowa noc. Tkwią dotąd w mojej pamięci refleksje sprowokowane niecodziennym widokiem rozgwieżdżonego, przytłaczającego swym ogromem nieba.

Cóż mogę znaczyć dla Stwórcy Wszechświata, jeżeli On rzeczywiście istnieje? Ja, zadający trudne pytania mizerny człowieczek? Ja, ulotna w swym istnieniu kruszyna ożywionej materii, zagubiona wraz ze swą niewielką planetą w bezkresnych przestrzeniach kosmosu i niepojętej otchłani czasu? Cóż mogę dla Niego znaczyć?

Mimo tak przygnębiających wątpliwości przymus dążenia sprawy pozostawał jednak nieodparty. Wstąpiłem, jak to wówczas nazywałem, na drogę poszukiwania **PRAWDY O BOGU**. Na niej coraz trudniejsze lektury. Wszystkie na tle Pisma Świętego.

Szukanie odpowiedzi na kolejne i kolejne pytania zajęło mi wiele lat. Na drodze, którą podążałem, zdarzały mi się wielokrotnie okresy zniechęcenia i ponowne powroty do swych poszukiwań. Mogę ostatecznie powiedzieć, że dotarłem do zamierzonego celu, ale nadal, w nieco innym już sensie, na drodze tej pozostaję.

Jestem przekonany, że ogarnia nas rzeczywistość, w której transcendentny Bóg swą ofertę miłości kieruje ku wszystkim ludziom. Niewzruszone przekonanie o istnieniu takiej relacji między Bogiem a człowiekiem daje mi poczucie sensu własnej egzystencji.

Poszukiwanie odpowiedzi na kolejne i kolejne pytania stało się dla mnie zajęciem coraz mniej istotnym. Nie oznacza to, że w swojej wierze nie mam już żadnych pytań i wątpliwości. Jedne, choć już nie w sprawach zasadniczych, nadal są. Inne z różną siłą wracają. Okresowo odkrywam coś nowego, odmienne spojrzenie na sprawy, o których wcześniej sądziłem, że są już zamknięte. Nie jest tak, że na każde zadawane sobie pytanie znajduję odpowiedź. Uważam, że nie zawsze jest to ani możliwe, ani konieczne.

Wiem, że problem wiary w Boga jest tematem poważnych dociekań, dyskusji i sporów prowadzonych przez ateistów, duchownych chrześcijańskich Kościołów, teologów, filozofów i ludzi nauk przyrodniczych.

Posługują się oni często trudnym do zrozumienia, specjalistycznym, dość hermetycznym językiem filozofii i logiki lub różnym w większości Kościołów, specyficznym, uduchowionym językiem ich teologii i religijnej doktryny. To profesjonaliści. Nie umniejszam w niczym wartości ich wypowiedzi. Wielu z nich, w istotny sposób, ukształtowało mój chrześcijański światopogląd.

W jakimś momencie swego życia doszedłem do wniosku, że dociekliwy sposób myślenia, odwaga w formułowaniu nawet kontrowersyjnych pytań, pewien zasób wiedzy, którą dała mi lektura książek o tematyce religijnej, oraz doświadczenie, które wyniosłem z mojej specyficznej drogi powrotu do wiary w Boga, mogą stanowić wartość przydatną nie tylko mnie.

Poza wewnętrznym przymusem pozostawiania na, jak to nazwałem, drodze poszukiwań, odczułem potrzebę podzielenia się tą wartością z wątpiącymi, poszukującymi i religijnie obojętnymi, podzielenia się z nimi tym, co o sensie wia-

ry w Boga może im powiedzieć człowiek, który, jak oni, był także wątpiący, religijnie obojętny i wreszcie poszukujący.

Kierowany tą inspiracją, bogatszy o wiedzę, przemyślenia i swoiste doświadczenie, zdecydowałem się na opowiadanie w tej książce o odbytej przed laty wędrówce, którą kontynuuję już nie sam, lecz we wspólnocie wierzących w moim Kościele.

Jako „osoba cywilna” potrafię mówić na temat wiary w Boga tylko potocznym językiem ludzi świeckich. Tym językiem zadaję w tej książce proste, konkretne pytania i tym samym językiem próbuję na nie odpowiadać, sięgając do problemów, które osobom takim jak ja w przeszłości, wydają się szczególnie ważne.

Mam nadzieję, że przedstawiona tu relacja z pokonywania ponownie kolejnych etapów mej drogi może okazać się przydatna Czytelnikom, którzy zechcą mi, w charakterze obserwatorów, na tej drodze towarzyszyć. Życzę im cierpliwości i wytrwałości oraz proszę o wyrozumiałość, jeżeli okaże się, że nie spełniłem ich oczekiwań.